Następnym celem naszej wyprawy było ogromne miasto Kolkata. Droga do tego molocha była bardzo długa i wyczerpująca, spędziliśmy bowiem aż 32 godziny w pociągu. Nocnych przejazd to pikuś w porównaniu z całodzienną jazdą w często brudnych i zatłoczonych wagonach. W nocy się śpi. Za dnia nie wiadomo co robić. Można gadać, ale w pewnym momencie i tematów brakuje. Człowiek zastyga i gapi się bezmyślnie w krajobrazy za oknem. I tak jedzie od czasu do czasu podsypiając. Na stacji Shalimar Kumar zorganizował taksówki, którymi podjechaliśmy do hotelu Sunfower, znanego nam z poprzednich wypraw. W „Słoneczniku" jest wygodnie, pokoje są przestronne, z klimą… żyć nie umierać. W dodatku popołudnie mogliśmy wykorzystać jak chcieliśmy, więc były kąpiele, kolacje w pobliskich restauracyjkach, zakupy… ja chyba najbardziej czekałam na soki, które tu można kupić, wyciskane na oczach klientów ze schłodzonych owoców. Pycha. My z Grace kupiłyśmy sobie maseczki do twarzy w sklepie z koreańskimi produktami do pielęgnacji… i promiennego wyglądu pozazdrościł nam sam szef – Kumar.

Następnego dnia pewnie już nie wyglądałyśmy tak promiennie, bo cała nasza ekipa musiała stawić się na zbiórce o 5.30 i podreptaliśmy na mszę do Domu Matki Teresy z nadzieją, że rozpoczniemy wolontariat i tak się stało. Kumar z sześcioma chłopakami pojechał do Daya Dan, Grace z pozostałą szóstka panów i pięcioma dziewczynami do Prem Dan, ja z pięcioma wyprawowiczkami do Shanti Dan. My opiekunowie znaliśmy ośrodki, które nam przydzielono. Byliśmy tam z poprzednią grupą dwa lata temu. No więc po skromnym śniadaniu, którym częstują siostry Miłosierdzia Bożego (kromka chleba tostowego i banany lub herbatniczki i banany popite czajem) ruszyliśmy do „swoich" domów. W Shanti Dan były dziewczyny i kobiety w wieku od 18 do 40 lat w większości z dysfunkcją intelektualną na poziomie znacznym i głębokim. Przykute do wózków potrafiły się pięknie uśmiechać, kiedy poświęcała im uwagę któraś z nas. W Domach Matki Teresy wszystko ma swój porządek – po przebudzeniu pensjonariuszki są myte i przebierane, a ich pidżamy i pościel prane w wielkich betonowych kadziach, do których włażą mashi lub wolontariuszki i nogami wydeptują brud. W Shanti Dan do takiej kadzi wlazła Kamila K. i z pełnym poświęceniem tuptała i tuptała, aż nie wyprała brudów. Czyste rzeczy przekładane były do basenu, w którym się je płukało i wreszcie – uwaga – do wirówki przemysłowej. Podkreślam tę wirówkę, bo wcześniej jej nie było i siłą rąk własnych wykręcałyśmy te tony szmat. Teraz miałyśmy luksusowo. Trzeba się było tylko nauczyć załadowywać tę wirówkę, ale poinstruowana przez surową mashi awansowałam na młodszą wirówkową. Uprane i odwirowane rzeczy wynosiłyśmy do wysuszenia na dach, gdzie wisiały dziesiątki metrów sznurków. Potem zajmowałyśmy się pensjonariuszkami, o 10tej była przerwa na herbatkę dla wolontariuszy, a potem znowu zabawy i rozmaite ćwiczenia z pensjonariuszami Shanti Dan, następnie karmienie ich podczas lunchu i mogłyśmy się odmeldować. I tak każdego kolejnego dnia. Kumar i Grace mieli podobnie, tyle że grupa Szefa pracowała z chorymi i opuszczonymi dziećmi, a ekipa koleżanki z osobami starszymi. Młodzi z Grace kupili książki do kolorowania, bo okazuje się, że tego typu aktywność zajmuje uwagę staruszków i poprawia ich motorykę małą. Kumar miał nielekko, bo był z grupą u dzieci, a te łapią za serce od pierwszego wejrzenia i Szef też wtopił. Z małym Amitem za rączkę przedreptał „hektary" i płakał kiedy przyszło się pożegnać. Zamorduje mnie za te łzy, ale Szef to wrażliwy człowiek (teraz to już na 100% zginę). Taki wolontariat jakiego doświadczyliśmy to też cudowna okazja, by poznać ludzi z różnych stron świata, którzy jak my, choć często na dłużej, stawiają się w domach Matki Teresy i służyć innym.

Po każdym wolontariacie wraz z wyprawowiczami zwiedzaliśmy Kolkatę. Byliśmy w Victoria Memorial Hall, katedrze św. Pawła, kościele świętego Jana, na cmentarzu, na którym pochowani są Brytyjczycy – najczęściej ofiary malarii i zwiedzaliśmy inne zabytki postkolonialne. Miasto schodziliśmy per pedes i skorzystaliśmy z rozrastającego się w Kalkucie metra. Dodam, że mieszka w tej aglomeracji kilkanaście milionów ludzi. Kalkuta więc korkuje się późnym popołudniem i wieczorami, kiedy uczniowie kończą lekcje, a potem kiedy dorośli kończą pracę. W związku z tym wejść do metra też nie było łatwo. Wagony były mocno zapchane, a my jeszcze musieliśmy się do nich wcisnąć. Udało się prawie wszystkim. Kilkoro naszych musiało poczekać ze dwie czy trzy minuty i dojechać do nas następnym składem.

Popołudniami spotykaliśmy się przestronnym hallu w Sunfower, by wysłuchać przygotowanych przez młodzież prezentacji. Co charakterystyczne dla tej grupy, to to, że wszyscy bardzo rzetelnie się do nich przygotowali, ale jeśli chodzi o długość to pobili wszystkich Paweł Ł. oraz Kuba Sz. Pierwszy opowiedział nam „w skrócie" historię starożytnych Indii, a drugi mówił o geografii subkontynentu. I ten drugi mówił… przez dwie i pół godziny na pewno. Natomiast w jeszcze trudniejszej sytuacji niż my – słuchacze był kolega Kuby, który przez prawie cały czas wykładu trzymał mapę administracyjną Indii. To co usłyszeliśmy było bardzo interesujące, ale ogrom przedstawionej wiedzy nas rozłożył na łopatki. Sił nam starczyło tylko na to, by pójść na kolację i grzecznie spać po tym maratonie.

Kalkuta jest pięknym i jednocześnie trudnym miastem. Tłumy ludzi na ulicach, temperatura, bieda mocno kontrastująca z przepychem centrum i wysokościowcami, obrazy poświęcenia jednego człowieka dla drugiego i szczury zamiatające ogonami zasiedlone gęsto przestrzenie. Nie lubię Kalkuty. Z przyjemnością stamtąd wyjechałam, zważywszy, że nocnym pociągiem mieliśmy dojechać do… Holy City Varanasi.